

prof. dr hab. Stanisław Bereś
Instytut Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej
Uniwersytet Wrocławski

RECENZJA
PRACY DOKTORSKIEJ MGRA PAWŁA BEMA
„DYAMIKA WARIANTU. MIŁOSZ TEKSTOLOGICZNIE”

Przyznam, że rozpoczynając lekturę tej pracy, odczuwałem instynktowną niemal rezerwę, bo choć dotyczy autora, któremu poświęciłem ważną część mojego zawodowego życia, więc jest mi bliski, spodziewałem się nudziarstwa (co potwierdziło się, ale nie żałowałem nawet minuty spędzonego nad „*Dynamiką wariantu*” czasu), a co gorzej, powątpiewałem w doniosłość odkryć, wynikających z zestawiania ze sobą tych samych partii wierszy w różnych wydaniach i wskazywania na wymienione w kolejnych wydaniach rzeczowniki, czasowniki, przymiotniki, czy przetasowaną interpunkcję. Z drugiej jednak strony byłem ciekaw, bo tego typu badań nikt nie prowadzi, programowo lekceważąc ich sens lub chroniąc się przed ich monotonią i czasochłonnością. Zachęcająca była też nadzieja na przyłapanie Noblisty na dopisywaniu sobie efektownych point lub erudycyjnych odniesień czyli uprawianiu literackiego liftingu, co zwiastowało przygodę niemalże detektywistyczną. Jak się okazało, nie myliło mnie ani jedno, ani drugie odczucie.

Praca mgra Pawła Bema faktycznie oczekuje od swojego czytelnika wytrwałości, bo zmusza go do skupienia i częstego zaglądania do różnych wydań, oraz cierpliwości w oczekiwaniu na warsztatowe wnioski, filologiczne komentarze czy edytorskie ciekawostki. To tekstologiczne studium nie serwuje anegdot ani barwnych analiz, nastawiając się na prześwietlanie szczegółów, sugerując tym samym swojemu czytelnikowi poskramianie ciekawstwa i z góry deklarując rezygnację z analitycznych popisów i interpretacyjnej wolyżerki. Autor dość świadomie usunął się w cień, przygotowując materiał dla tuzów miłoszologii. Tymczasem jednak, wraz z rozkręcaniem się narracji i powiększaniem się pola obserwacji (zestawienia i analizy podawane są w kolejności publikacji Miłosza), okazuje się, że wykracza on poza proste „sygnalizowanie problemów” i sugeruje nam opinie oraz wnioski. Robi to jednak w sposób skromny, mądry i dyskretny. Może sobie na to pozwolić, bo ten rodzaj argumentów, jakimi dysponuje (cytaty utworów Noblisty w trzech lub czterech wersjach), ma w sobie siłę dowodu, z którym dyskutować nie sposób. Prawdziwa jest wersja A, B lub C. Ale co to znaczy „prawdziwa”? – pyta dociekliwie Bem. Poświadczona autografem, pierwodrukiem w czasopiśmie, publikacją w tomiku, czy w *Wierszach wybranych*? Przeświadczeniem, że wersja późniejsza jest zawsze „bardziej prawdziwa”? A może informacją, że „wiersze w tym tomie mają kształt ustalony przez autora”?

Autor rozprawy łatwo przekonuje nas, że to nieprawda, gdyż ulegamy przyzwyczajeniom i iluzjom, że gdzie jak gdzie, ale w wydaniach poezji Miłosza wszystko zostało dokładnie ustalone, sprawdzone i jest jasne jak słońce. Dlatego

w partii wstępnej Bem deklaruje: *Moją ambicją było przede wszystkim czytelne przedstawienie niestabilności tekstów. Poznanie ich losów, nieoczywistych [...] Powiada się w takich wypadkach o „biografiach tekstów”. Myślę, że w wypadku Miłosza można powiedzieć śmiało – starałem się ustalić genealogię wierszy, historię pokrewieństw i różnic ich wersji, specyficzność tekstów, które żyjąc na pierwszy rzut oka jednym życiem, doczekały się de facto kilku równoprawnych żywotów w druku (s. 13). Tymczasem – jak stwierdza dalej – miłoszologia się nimi nie zajmuje, często w ogóle ignoruje ich istnienie, pewna, że stąpa po gruncie stabilnym. A przecież jest inaczej: istnieją one najczęściej w kilku drukowanych wariantach o równym stoniu autoryzacji, a produkcja nieznanych sensów odbywa się także na liniach napięć między poszczególnymi wersjami (s. 14).*

Trzeba przyznać, że śmiało to i niezbyt zgodne z naszym przeświadczeniem tezy. W trakcie lektury „*Dynamiki wariantu*” jednak zostajemy w sposób nieśpieszny i metodyczny – krok po kroku – przekonani, że jest inaczej, a za kłopotliwą wariantywność jest odpowiedzialny w pierwszym rzędzie sam Noblista.

Nie ukrywam, że czytałem tę pracę w warunkach niezbyt sprzyjających skupieniu, bo na pokładzie żaglówki na pełnym morzu, co wykluczało też sprawdzanie rewelacji serwowanych przez autora, który co chwilę zaskakiwał mnie lub deprymował wersjami znanych mi wierszy, w które trudno było mi nieraz uwierzyć, zwłaszcza, że niektóre z nich miałem utrwalone w pamięci, a pochodziły z edycji „kanonicznych”: *Wierszy Instytutu Literackiego, Utworów poetyckich z Ann Arbour czy Wierszy wszystkich* Wydawnictwa „Znak”. Wątpić jednak było nie sposób, bo wszystkie cytaty były dokładnie udokumentowane.

Mówię o tej konsternacji z kilku powodów. Po pierwsze, dlatego że praca ta stawia zasadnicze pytanie właśnie o ową „kanoniczność”, która w wypadku Miłosza – jak widzimy – jest kwestią dość umowną. Bem w sposób bezdyskusyjny wykazuje jej płynność i udowadnia, że poezja ta nie ma tak twardych rdzeni tekstowych jak sobie dotąd wyobrażaliśmy. Nie ma więc również czegoś takiego (mówiąc w skrócie) jak „Miłosz ostateczny”. Po drugie, praca ta udowadnia, że problem dotyczy nie tylko zmienionych przez poetę, redaktora lub wydawcę pojedynczych słów, ale również całych wersów, partii tekstu i tytułów. Niekiedy dotyczy też relacji poszczególnych wierszy z innymi, sąsiadującymi z nimi (czasem wchodzącymi w dialog). Nie jest rzadkością w tej poezji, że w wersji czasopiśmiennej dany tekst stanowił na przykład ogniwo cyklu, w autorskim tomiku był utworem odrębnym, a w edycji pełnej został wydrukowany (wraz z autorskim komentarzem) w parze z innym utworem. Bo Miłosz nieraz faktycznie wyjaśnia nam powody i historie tych zmian, ale nierzadko je również zamąca (Bem parę razy wykazuje to w sposób niezbity). Uderza nas to szczególnie wtedy, gdy ewidentnie rozmija się z faktami (gdy np. apodyktycznie twierdzi, że dany wiersz powstał np. w roku 1972, a w rzeczywistości pojawił się on w druku dwa lata wcześniej).

Gdyby te odmiany tekstów były tylko wersjami semantycznie „równoległymi”, nie byłoby problemu, ale ponieważ ich znaczenia oraz „wizualność” zdumiewająco się czasem rozchodzą, autorowi „*Dynamiki wariantu*” trudno poprzestać na konstatacjach, że np. słowo potoczne zostało

zamienione na poetyckie, jednoznaczne na wieloznaczne, a „szeleszczące” na „dźwięczne”, bo ma świadomość, że te wiersze znaczą już coś innego, że przekazują nieco (a czasem zdecydowanie) inne sensory lub obrazy. W takich momentach wyraźnie widać jak Bem cierpliwie stąpa w „chińskich bucikach” tekstologicznych ustaleń, ale sprawia mu to przykrość, bo jego serce wyrwa się do prób interpretacji prezentowanych różnic, do wyjaśniania ich przyczyn i skutków. Dlatego też czasem przekracza lekko nakreśloną przez siebie samego granicę, ale po chwili karnie wraca w cugle „metody”. Bardzo ludzka i ujmująca jest zresztą ta walka metody z emocjami.

Skoro Bem zadeklarował we wstępie swojej pracy ostrożność i oszczędność w ferowaniu opinii, na ogół się tego trzyma, ale ma z tym kłopot, bo serwując czytelnikowi obraz zmian dokonujących się na przestrzeni wielu dekad w wielu utworach Miłosza, ma jasność, że generują one ważne pytania: jak się te teksty mają wobec siebie, jakie były kryteria dokonywanych przez poetę/wydawcę przekształceń, jakie nowe sensory oraz potencje obrazowe się w ten sposób wyzwalały i dlaczego zostały (i przez kogo) uznane za lepsze. Poza tym, jeśli uznać, że wiersze Miłoszowi faktycznie niejednokrotnie dyktował Dajmonion, co potwierdzał on sam, a za nim agon badaczy, czyli że miały one charakter objawienia lub epifanii, to jaki cel miały operacje „poprawiające” głos z Tamtej Strony, być może nawet głos Stwórcy. Czyżby w Miłoszu zwyciężał czasem nad natchnionym poetą - redaktor? Bem nie stawia tego pytania wprost, ale je w wyraźny dla mnie sposób sugeruje.

Przyznam, że lektura tej dysertacji wyzwoliła we mnie rodzaj sympatii dla jej autora za metodyczność, warsztatową dzielność, badawczą skromność, precyzję jego porównawczych działań i wiarę w sens zestawiania ze sobą tak pozornie mało nieraz między sobą różniących się fragmentów. W rzeczywistości bowiem chodzi nie o to, czy lepsze jest np. „kołysanie słów” czy „wymawianie słów”, ale to, co tego typu zmiany uruchamiają. Wspomniane wcześniej okoliczności lektury tej pracy wykluczały sięganie przy każdym kolejnym przykładzie do regału z miłoszianami, co ostro uświadomiło mi, że jakkolwiek uprawniona i kształcąca jest taka lektura, to z kilkoma edycjami poezji Miłosza w ręku (a zatem z pełnym zapleczem tekstowym, a nie tylko z podsuwanymi mi wyimkami) byłaby ona pełniejsza. Raz po raz czułem, że nie wystarcza mi ta precyzyjna ewidencja różniących się między sobą słów i obrazów, bo widziałem, że oddziaływują one na większe partie tekstu, czasem zmieniają znaczenia lub wagę całych utworów. Ale na bieżąco nie mogłem tego zweryfikować. Co ciekawe, był to nie tylko mój problem, ale i autora rozprawy, bo mimo całej swojej pedanterii i badawczej uczciwości, nie mógł on zestawić ze sobą pełnych utworów, ale co najwyżej ich różniące się fragmenty. A to uniemożliwiało diagnozę pełną, skazując autora (i czytelnika) na konstatacje ułamkowe, ograniczone do rejestrowania i komentowania zmian sensów w obrębie prezentowanych fragmentów. Od razu zaznaczam, że to nie zarzut, bo pełna analiza sensotwórczych skutków istnienia różniących się wersji tekstów byłaby pracą tytaniczną, być może nawet Syzyfową. Do tego jednak jeszcze wrócę.

Ilość pracy archiwalnej, jaka wykonał Bem, jest godna najwyższego szacunku, bo tropienie i porównywanie wszystkich wersji (rękopiśmiennych¹, czasopiśmiennych, książkowych) tekstów Miłosza, który był szalenie płodnym autorem, jest jedną z najbardziej niewdzięcznych prac filologicznych, a identyfikacja tych samych tekstów (ich fragmentów, a nawet pojedynczych słów) ukrytych pod innymi tytułami, dla niepoznaki chytrze zmienionych, przepracowanych głębiej lub płycej, wymaga takiej pracy pamięciowej i skupienia, o jakich literaturoznawcy na ogół nie chcą nawet słyszeć, co wiemy z niezliczonych błędów w cytatach, od jakich roi się w opracowaniach i monografiach najwybitniejszych historyków i teoretyków literatury, o krytykach już nawet nie wspominając. Kwerendy autora tej pracy wymagały wyjazdów do zagranicznych bibliotek i archiwów, przeczucia korespondencji pisarza i jego przyjaciół lub wydawców, nieustępliwego rycia w teczki Instytutu Literackiego w Paryżu czy w Beinecke Rare Book & Manuscript Library w New Haven, a nawet tropicielskich wypraw do Sejn, pozwalających osadzić wiersze Miłosza w konkretnych krajobrazach. Jestem pełen szacunku dla tej pracy, tym bardziej, że wysiłek ten nie został wykorzystany do podważania istniejących odczytań rzekomo „kanonicznych” utworów, ironicznego dyskusowania z miłoszologami (a niektóre warianty tekstów do tego wręcz prowokują) lub ferowania alternatywnych interpretacji z pozycji „wiedzącego lepiej”.

Każdy literaturoznawca wie, jak boli zaklasyfikowanie go do grona przyczynkarzy. Tymczasem mgr Bem pokazał, że tego typu mrówcza praca „u podstaw” (niewdzięczna w ogólnym odczuciu) może posłużyć do zbudowania szalenie ciekawej i pouczającej „biografii” wierszy, opowiadającej o tym, jak zmieniają się one w kolejnych wydaniach, przybierając nowe barwy stylistyczne, a nieraz i sensy. Ujmuje mnie, że nie wykorzystał tego do „rozpychania się” w planie interpretacyjnym, ale (samo)ograniczył się do pokazania mechaniki zmian, świadom najwyraźniej, że tak naprawdę stoimy tu wobec tajemniczy procesu twórczego i jego nieuchwytniej często logiki.

Niejeden autor na miejscu Bema starałby się co jakiś czas dyskutować swoje odkrycia jako „sukcesy”, pokazując jak często badacze twórczości Miłosza rozmijali się w analizach, bo nie znali językowo-semantycznych oboczności tekstów, które omawiali, bo ich po prostu nie sprawdzili. To uprawniałoby do proponowania ich nowych odczytań. Oczywiście autor nie jest maszyną, ale tylko człowiekiem, więc czasem pozwala sobie na takie „wycieczki”, ale na ogół ich motywem jest naturalna ciekawość, a nie potrzeba zaakcentowania swojego badawczego ja. Przedstawiony przez niego materiał dowodowy jest zbyt masywny i niezbity, by mógł być zlekceważony przez miłoszologię, która musi przyjąć do wiadomości, że w wypadku bardzo wielu tekstów mamy do czynienia z ich niestabilnością, co nakazuje ostrożność we wnioskach i zmusza do pochylenia się nad mechanizmem ujawnianych tu zmian. Przypuszczam, że nowe opracowania poezji Miłosza będą już uwzględniały ustalenia mgra Bema. Nie bez kozery przywołał on opinię Zdzisława Łapińskiego, który w nocie edytorskiej do *Poezji wybranych Cz. Miłosza* wydanych w serii Biblioteki Narodowej stwierdził: „Poeta rzadko wprowadzał gruntowane zmiany do ogłoszonych wcześniej

¹ Choć to akurat nie jest standardem tej pracy, bo jej Autora interesuje „publiczny” wymiar losów wierszy Miłosza.

liryków". Ktoś inny zapewne zrobiłby z tego sprawę. Bem natomiast absolutnie słusznie zrezygnował z dyskusji, co to znaczy „gruntownie” czy „rzadko”, poprzestając na pracowitej ewidencji zmian w obrębie kolejnych tomów poety, bo ich ilość i specyfika mówią same za siebie.

W rzeczywistości chodzi tu bowiem o rzecz znacznie poważniejszą niż ewentualne korekty w omówieniach poszczególnych wierszy Miłosza. Waga pracy mgra Bema polega na tym, że wykazał, iż nawet tam, gdzie wydawało się, że mamy do czynienia z unikalną autorską precyzją i wyjątkowym pietyzmem wydawniczym (bo chodzi wszak o Noblistę i talent uznany już za młodu), nie ma mowy o definitywnej wersji utworu, a co gorzej instancji, która mogłaby taką „ostateczność” zadekretować. Bo przecież – jak trzeźwo wykazuje Bem – nie jest nią ani autor, bo przetwarza wcześniej napisane teksty (i nie zaprzestaje tego procederu do końca swoich dni), ani tym bardziej redaktorzy czasopism oraz edytorzy pojedynczych tomów oraz kolejnych dzieł „wybranych” i „zebranych”. We wszystkich tych wydaniach nawet przyswojone ogółowi rodaków wiersze migają całą paletą odmian.

Autor tej pracy nie odpowiada nam na pytanie, co w tej sytuacji zrobić, bo nie taki był jego cel. On tylko pokazuje, że tak właśnie jest – nawet w twórczości jednego z najlepiej opisanych poetów naszej epoki. Tym samym jednak zadaje kolejne pytanie, którego *expressis verbis* nigdzie nie wyartykułował, ale jest ono oczywiste: jak wygląda w takim razie sprawa kanoniczności tekstów innych pisarzy, szczególnie naszych klasyków: Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Herberta czy Różewicza? Być może i one czekają na rewizję wszystkich istniejących wersji? W końcu jest tajemnicą poliszynela, że tak naprawdę nie wiemy, jaki jest np. prawdziwy kształt „*Vade-mecum*”, czy „*Ogólników*” Norwida, któremu niejedno Gomulicki dopisał, a i „*Liryki lozańskie*” Mickiewicza kryją niezdrowe tekstologiczne tajemnice. Jakie więc w takim razie zaskoczenia czekają nas w wypadku innych, nie tak pieczołowicie badanych pisarzy? Jak widzimy, dość szybko dochodzimy do wniosku, że problem jest szeroki i dotyczy nie tylko Miłosza.

Podoba mi się skromność Bema, który i tutaj zatrzymał się z wnioskami, zostawiając je literaturoznawstwu. Jego postawa badawcza, którą ktoś niedoświadczony mógłby uznać za mało ekspansywną, wykazuje swą skuteczność, bo doprowadza nas do kwestii, która wykracza poza obszar edytorstwa i tekstologii, a momentami nawet poza literaturoznawstwo, bo dotyka problemu ontologii dzieł literackich, co wprowadza nas w obszar filozofii. To nie są proste pytania: co to jest „ostateczna wersja dzieła”, skoro ulega ono stałym przemianom (dokonywanym ręką autora lub upoważnionych przez niego ekspertów, z którymi prowadzi na ten temat dyskusje i negocjacje, uwzględniając – lub nie – ich racje)? Jak opisać dzieło „w toku”, które w różnych okresach życia poety sugeruje inne przekonania oraz wrażliwość? Czy dzieło sztuki jest wytworem stabilnym i wiarygodnym, skoro zmieniająca się (powiększająca się na ogół) wiedza i życiowe doświadczenie autora każą mu je transformować i w nieskończoność „ulepszać”. W jakim etapie jego życia jest to moment optymalny, skoro z wiekiem u każdego pisarza pojawiają się ograniczenia pamięci, immobilność, rezygnacja i niechęć do korygowania poglądów?

To nie są cytaty pytań stawianych przez Bema. On tak zręcznie poprowadził swoje prace porównawcze, że nie musiał ich nawet formułować, bo praktycznie same cisną się na usta czytelnika. To kolejny przykład inteligencji i skuteczności autora. Jego (ukazywana tu na różne sposoby) badawcza „skromność” jest wynikiem roztropnego założenia wyjściowego: docieram do źródeł, konfrontuję je, umieszczam na osi czasu (stąd chronologiczny układ tej pracy), eksponuję różnice i ostrożnie komentuję kierunki zmian (rola samego autora i osób mających wpływ na kształt utworów). Ale ograniczam się w dociekaniach, która wersja jest literacko lepsza i w jaki sposób zmienia znaczenie całego tekstu.

Nie wyobrażam sobie jednak, by ten inteligentny młody badacz nie zastanawiał się nad zsumowaniem wiedzy, jaką przynosi analiza przekształceń tekstowych w kolejnych tomach. Czyli przeniesieniem się na poziom syntezy tego, co pokazał (ustalił) w poszczególnych edycjach oraz etapach rozwoju twórczości Miłosza. Czy mechanizmy ujawnione w kolejnych tomach zmieniały się czy były tożsame? W końcu pisał i publikował przez ponad 70 lat. Zapewne można by to zbadać, choćby przy pomocy metod statystycznych, co pozwoliłoby zweryfikować nasze utrwalone wyobrażenia (że są to zmiany na lepsze), ale i ujawnić rzeczy nieoczywiste, zaskakujące. Przecież naturalne są czysto intuicyjne pytania: czy ingerencje Miłosza w opublikowane już wiersze wynikały tylko z dbałości o ich precyzję, wieloznaczności, ostrzejszą wizualność, osobniczą wyróżnialność (indywidualizacja) i głębię „metafizycznego uchwytu”? Znamy w końcu doskonale mechanizmy „poprawiania” swoich wizerunków przez np. diarystów, którzy nagminnie wpisują swoją wiedzę z lat późniejszych w lata wcześniejsze, by podkreślić w ten sposób własną przenikliwość lub wizjonerstwo. Przyjemnie jest przecież być mądrzejszym od innych. Nie ma powodu, dla którego nie mieliby tego robić poeci, na bieżąco reagujący poetycko na zmieniający się wokół świat, a potem obserwujący z przykrością, że nietrafnie rozszyfrowali ducha czasu. Pokusa skorzystania z wiedzy późniejszej i wpisania jej w teksty wcześniejsze musi więc być szczególnie silna, gdy czytają swe dawne wiersze mające się złożyć na zbiór „*Utwory zebrane*”. Wszak dużo przeżyli, sporo widzieli i wiele przeczytali. Pytania o prawdziwe motywy zmian dokonywanych przez poetów w ich utworach są więc uzasadnione. Mogą wszak dotyczyć spraw nieoczywistych i skomplikowanych. Czasem mogą wynikać ze wstydlivych cech natury ludzkiej, ale czasem z nacisku losu, który domaga się prawa do głosu. Dojrzewa i zmienia się pisarz, a w ślad za nim jego utwory. W jaki sposób? Co zyskują, a co tracą? Czy wzbogacają poetycką ofertę czy zabarwiają ją pokusami ambicji? Odpowiedzi na takie pytania znajdują się na wyższym – syntetyzującym – poziomie analizy mechanizmów Miłoszowych przekształceń lirycznych.

Doskonale rozumiem, że odpowiedzi na takie pytania z wielu powodów autor tej pracy podjąć się już nie mógł. W końcu zrobił i tak sporo – zdecydowanie dość jak na dysertację doktorską. Ale nieuchronnie uruchomił naszą ciekawość i ukazał horyzonty, które można otworzyć, bo zostawił do nich klucze na stole. Traktuję to jako jej bezcenny walor. To, co Bem ustalił, zrobił w sposób niebity i trudny do dyskusji, zarazem jednak niczego nie zamknął. Wręcz przeciwnie, wiele tropów wskazał, otwierając niemało ciekawych perspektyw.

Jak zasugerowałem na wstępie, z trudem przychodzi mi wskazanie usterek czy wad tej pracy. Zapewne byłoby to łatwiejsze, gdybym spojrział na ukazywane w niej zmiany tekstowe z perspektywy pełnych (cytowanych tu we fragmentach) utworów. A może i również z horyzontu tomów, z jakich pochodzą. Wiersze te bowiem i ich przekształcane partie stanowią części większych struktur. Znaczą zatem to, co znaczą w obrębie prezentowanych przez mgra Bema całości, ale znaczą też coś więcej – w obrębie tych nadrzędnych struktur (cykli poetyckich, antologii, wybranych na publikację – spośród różnych – czasopism, tomików i sumujących zbiorów, a wreszcie szuflady). Niestety taka superwizja wymagałaby napisania całej – wymagającej intelektualnie – książki. Jestem przekonany, że przyniosłaby arcyciekawe ustalenia. *Wejść tam nie można. Ale jest na pewno./ Gdybyśmy lepiej i mądrzej patrzyli./ Jeszcze kwiat nowy i gwiazdę niejedną/ W ogrodzie świata byśmy zobaczyli* – powtórzę za Miłoszem. Nie wykluczam, że młody badacz tam właśnie podąży w przyszłości. Ma w końcu do tego wszystkie dane.

Za usterki tej pracy uważam nierzadkie powtórzenia (np. powroty do tych samych cytatów lub wyprowadzonych z nich konkluzji), powracające jak bumerangi w dalszych częściach książki. Nie ewidencjonowałem ich, bo jestem przekonany, że autor sam wyłapie je w trakcie przygotowania pracy do druku. Zwracam jednak na nie uwagę, bo czytelnik odczuwa pewną przykrość, gdy jest traktowany jak sklerotyk, któremu trzeba wcześniej powiedziane rzeczy raz po raz przypominać.

Lekko drażni mnie też – dość zaskakująca w kontekście wygłoszonej we wstępie tej książki deklaracji badawczego chłodu i metodologicznego samoograniczenia – publicystyczna natarczywość, z jaką Bem artykułuje i wielokrotnie powraca do kwestii unowocześniania przez edytorów starych form językowych, „prostowania” archaizmów i dialektyzmów. Można powiedzieć, że w ostatniej części swojej pracy wygłosił (w pulsującym rytmie) gromką diatrybę przeciwko zbrodni, jaką popełnili wydawcy, „grabiąc” i „wyczesując” wiersze Miłosza z charakterystycznych dla niego prowincjonalizmów i świadomych anachronizmów. Rzecz jednak nie w samej tezie, ale w nieco historycznym sposobie jej artykulacji. Niezręczność wynika z nagłego zdjęcia gorsetu językowej dyscypliny i przeskoczenia z języka nauki w język publicystyki. Sprawia to wrażenie, jakby autorowi, który przez tyle stron poskramiał potrzebę ferowania wyroków i opinii, poprzestając na chłodnej prezentacji tekstologicznych faktów, nagle w zakończeniu puściły nerwy i wylał swoje emocje.

Z jednej strony sprawa jest oczywista, przynajmniej w odniesieniu do twórców wybitnych (jak właśnie Miłosz). Wyobraźmy sobie bowiem, że wydawca np. *Kalendarza i klepsydry* Konwickiego, natchniony misją (zalecanego przez edytorów) unowocześniania archaicznych form, „poprawiłby” zdanie, jakie w latach trzydziestych ubiegłego wieku autor (jako chłopiec z podwileńskiej wsi) wygłosił ku uciesze klasy pierwszego dnia w liceum Stefana Batorego: *Największymi wrogami zajęcy są wilcy*². Śmieszność sceny i wiele znaczący tu

Śliczna pani profesorka mnie, mikrogo piegusa, zapytała o zające [...] Zamrugalem rozpaczliwie oczami i rzekłem trzęsącym się głosem: – Największymi wrogami zajęcy są wilcy. Cała klasa spadła z ławek. Ci różowi,

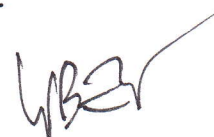
smaczek językowy wyparowałyby raz na zawsze. W tym sensie sprawa jest oczywista, więc aura larum wokół tej sprawy jest nieuzasadniona: decyduje autorska świadomość powodów użycia przestarzałej formy oraz jej stylistyczna funkcja. Ale równocześnie mgr Bem musi uwzględnić racje językoznawców, którzy zgadzają się z tym, że polszczyzna jest organizmem żywym, eliminującym obumierające tkanki i wymieniającym je na nowe. A to oznacza rozumność decyzji, jakie musi podejmować redaktor i wydawca. Nawet istniejąca od stu lat seria Biblioteki Narodowej, mająca w swym statucie programowy szacunek wobec zabytków języka, wydając polską klasykę ulega prawom czasu i opornie, ale jednak uwzględnia fakt, że obecne generacje mocno archaizowanego tekstu po prostu nie rozumieją.

Pewnie nie jest retorycznie zręczne, gdy po paru przytykach (na szczęście drobnych) następuje zdecydowany wniosek końcowy, bo sprawia to wrażenie niekonsekwencji. Ale gdzieś te uwagi musiały znaleźć swoje miejsce, bo trudno je ukryć jak szaraka w kapuście - w przypisach. „*Dynamika wariantu*” to książka wartościowa, którą uważam za produkt dobrego umysłu i warsztatu. Bardzo cenię sobie jej wyrozumowaną metodologiczną skromność i zdolność pochylania się nad szczegółami, których inni nawet nie dostrzegają, natomiast Bem wykazuje, że dla rozumienia poezji Miłosza (i jego samego) są *en masse* ważne i znaczące.

Autor tej rozprawy jest bez wątpienia kompetentnym, uważnym i dojrzałym intelektualnie historykiem literatury, który ma przed sobą obiecującą przyszłość naukową. Przedstawił nam pracę poważną, wyjątkowo porządnie uargumentowaną, a przy tym - dla ambitnego czytelnika - intrygującą, bo przynosi wgląd w sprawy, które świadomie ominęli lub zlekceważyli nawet wybitni badacze twórczości Noblisty.

Prace tekstologiczne są na ogół męczące w lekturze, bo wymagają skupienia, więc czytelnik tej dysertacji musi ponieść pewną ofiarę, ale jest ona dobrze napisana, w niektórych miejscach wręcz wyrefinowana, choć jest wynikiem wysiłków przypominających przesiewanie ton piasku. Uważam, że jest ona cennym prezentem dla miłoszologii, a jej autorowi otwiera niezłe perspektywy badawcze na przyszłość. Jest pracą, która w pełni aspiruje do dopuszczenia go do dalszych etapów przewodu doktorskiego.

Wrocław 14.09.2017



spasieni panicze [...] tarzali się po ziemi, wyjąc z uciechy. A ja nie wiedziałem, o co chodzi. Na prowincji wileńskiej pierwszy przypadek liczby mnogiej od słowa wilk był używany w archaicznej oboczności - wilcy.